

Small thought

AUTOR: DOMINIK GAC

Ilu gestów i słów potrzeba, aby udowodnić, że są nieprzydatne? W *Kilku opowieściach z Islandii* zmieszczono ich wiele. Opowieść o emigracji jest niemożliwa. O narodzie – również. Prawda, zakryta stereotypami, tkwi w bezpośrednim doświadczeniu. Czy warto więc było stawiać pytania?

■ Islandia to świetne miejsce do namysłu nad emigracją. Wyspa Szczęśliwego Socjału, ale też Ultima Thule, gdzie wiatr wylamuje drzwi samochodów, z infernalnych lufców cuchnie siarką, wulkany zamykają niebo i grzeją wodę w kranie. Gdzie noc i dzień potrafią się nie kończyć, a wikingowie amerykańskie mają uśmiechy. Policjanci trzymają broń w sejfach zamkniętych w bagażnikach radiowozów, a antydepresanty i ibuprofen to artykuły pierwszej potrzeby. Gdzie księżycowy krajobraz i biżuteria z lawy. A to wszystko ledwie cztery godziny lotu z Okęcia.

Polacy stanowią dziś najliczniejszą mniejszość (około trzydziestu tysięcy osób, sześć procent populacji) w tym *small country* – jak z przekąsem powtarzają bohaterowie sztuki napisanej przez Weronikę Murek, a wyreżyserowanej przez Unę Thorleifsdóttir w kieleckim Teatrze Żeromskiego. Gdy na kasie samoobsługowej w islandzkim supermarkecie zobaczyłem polskie zdania, wziąłem to za dobrą monetę. Nie zastanawiałem się nad Baumanskim podziałem na turystę i włóczęgę, na przywilej i przymus wędrowania. A potem usłyszałem o Islandczykach, którzy tracą cierpliwość wobec kolejnych sąsiadów nieuczających się ich języka. Trudnego, owszem. Pomyślałem też o ukraińskich wersjach językowych kas w Biedronkach i zrobiło mi się niezręcznie z tą perspektywą gościa zachwyconego lodowcami i wulkanami, który guzik wie o tym, co te polskie słowa na islandzkim wyświetlaczu naprawdę znaczą. Co się między użytkowymi zdaniem kryje.

To właśnie miałem nadzieję zrozumieć, przeczytawszy, że artyści w pracy nad spek-

taklem polecieli na wyspę oraz zaprosili do Teatru im. Stefana Żeromskiego reżyserkę na co dzień pracującą w Reykjavíku. Una Thorleifsdóttir zdążyła już poznać świętokrzyską scenę i tutejszych aktorów. W 2019 roku zrealizowała w Kielcach *≈[prawie równo]* szwedzkiego pisarza Jonasa Hassena Khemiriego, w 2021 zaś *Zarazę* Neila Bartletta. Teraz mamy polski tekst, a w nim kilka poważnych pytań: co to znaczy być Polakiem, a co Islandczykiem, czym jest tożsamość narodu? A także kilka prostych myśli. Choćby taką, że los emigranta jest uniwersalny bez względu na narodowość. Islandzka niania (Beata Pszeniczna) opiekująca się dziećmi J.R.R. Tolkiena (Wojciech Niemczyk) niewiele się przecież różni od pracującej na wyspie mieszkanki mazurskich Starych Juch (Zuzanna Wierzbńska). Aczkolwiek nie słyszałem, aby polskie opowieści czy legendy zainspirowały jakiegось islandzkiego pisarza. Zamiast sag i elfów przynosimy sprawowane ręce, smutne oczy, nieświadomość praw pracowniczych i marzenia o domach do wybudowania na podlaskich i mazowieckich wsiach, na które ciulamy w nadgodzinach – o ile wrócimy, bo często w nowym kraju zostajemy, narzekając na ojczyznę i ziomeków, którzy wyjechali z niej tak jak my. To też nas różni. Islandczycy są klanowo solidarni i z reguły wracają. Jeśli więc tęsknią, to inaczej, by tak rzec – chłodniej.

Spektakl oparto na metateatralizowaniu i kompozycji szkatułkowej. Szóstka aktorów w białych dresach nosi na nich podpisy informujące, które z pięćdziesięciu siedmiu postaci akurat grają. Pojedynczą rolę Polskiej Dziennikarki ma jedynie Dagna Dywicka.

W postać wciela się beznamiętnie, chwilami ledwie referuje tekst. Bohaterka przyjechała na wyspę, aby napisać książkę o emigracji, ale nie jest emigrantką. Podkreśla to dobitnie, jakby bała się, że ta etykieta pozbawi ją zawodowego profesjonalizmu, skąd, jeśli nie na spodziewaną dyskryminację, to na stereotypowe widzenie Polaków, a to widzenie coś jej zasłoni. Czy da się napisać książkę o emigracji, nie doświadczając teje? Zrobiły to dwie trójmiejskie dziennikarki Aleksandra Kozłowska i Mirella Wąsiewicz. Ich mozaikowy zbiór portretów pod tytułem *Islandia i Polacy* bez wątpienia coś o tych dwudziestu dwóch przepytanych emigrantach mówi. Ale poza katalog szkieletów kreślonych sylwetek wykracza rzadko i z wyraźnym trudem. Z kieleckim spektaklem dzieje się podobnie.

Ramą narracyjną jest rozmowa Dziennikarki z jej islandzkim kolegą po fachu (Andrzej Plata). To z tego wywiadu wylaniają się kolejne sceny układające kalejdoskop postaci oraz epizodów z historii Islandii. Także tych mniej chlubnych, jak komitywa z III Rzeszą (na ekranie w tyle sceny oglądamy film dokumentujący wizytę Ewy Braun w 1939 roku). Antysemicki wątek wraca również w opowieści o słynnym szachiście Bobbym Fisherze, który na Islandii grywał, mieszkał i opowiadał rasistowskie koczopły. Wojna w tej narracji jest czasem prosperity, a każde wydarzenie, które sprawia, że o Islandii mówi się na świecie – pozytywnie. Są też historie słusznie napawające wyspiarzy dumą, choćby strajk kobiet z 1975 roku. Rys historyczno-socjologiczny nie może obyć się bez napięcia między Islandią a Danią, która kontrolowała wyspę od XIV wieku aż



Kilka opowieści z Islandii, reż. Una Thorleifsdóttir, Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach [2024]

do 1944 roku. Gdyby ktoś chciał się dowiedzieć na ten temat więcej i przy okazji zbadać zjawisko imigranta-kolonizatora, niech obejrzy film *Godland* w reżyserii Hlynura Pálmasona (2022). Ta dawna podległość i jednoczesna duma z autonomii wydają się intuicyjnie czymś, co mogłoby Polaków i Islandczyków łączyć. Punktów stycznych znaleźlibyśmy zresztą więcej – choćby stosunek do pracy. Podobny i różny jednocześnie. Wyspiarze zdają się wysiłek szanować, Polacy otaczać toksycznym kultem. Każde takie porównanie obarczone jest jednak ryzykiem błahej i z gruntu fałszywej gry stereotypami. Uogólnienie nie pozwala na precyzję, a wydaje się, że prawda taka właśnie powinna być – precyzyjna. Coś tak wieloosobowego jak naród, choćby w wersji *small*, nie może być jednoznaczne.

W gąszczu dat i tłumie bohaterów większość przywoływanych postaci jest pretekstem do ćwiczeń ze szkicowania teatralnych portretów – grubymi kreskami, bez cieniowania. Aktorzy wyciągają sowizdrzalski nerw swojego fachu. Z zapalem ogrywają stereotypy i karykatury, jak w scenie, gdy emigranta (włoskiego, irlandzkiego i polskiego) kreuje Wojciech Niemczyk. Przepraszam, to nie tak. Niemczyk gra Polskiego Aktora, który gra Marlona Brando, który na planie *Tramwaju zwanego pożądaniem* ogrywa poprzednie, a wreszcie finalne wcielenia Stanleya Kowalskiego. Partneruje mu Andrzej Plata jako Islandzki Dzien-

nikarz jako Tennessee Williams. Całkiem te przebieranki zabawne, ale znacznie lepsze na tej samej scenie można oglądać w *Żywocie i śmierci pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia* w reżyserii Łukasza Kosa (2023).

Wracam więc do pytania z początku: czy potrzeba tak wiele zachodu, by opowiedzieć niemoc opowiadania? I czy owa niemoc to efekt siły wyższej, czy porażka twórców? Da się przecież o emigracji mówić konkretnie, prawdziwie i dojmująco. Są o tym całe książki, na przykład *Nie jestem twoim Polakiem* Ewy Sapieżyńskiej, która opisuje realia Norwegii (w niej też stanowią największą mniejszość). To opowieść o dyskryminacji w wielu odcieniach. O przymusie hierarchii, o drabinie, po której można się wspinać i z której można spadać, ale nie sposób stanąć obok. Na Islandii również istnieje taka drabina. Pod Polakami są inni – choćby Łotysze. Być może w Norwegii dyskryminacja jest dotkliwsza i dlatego jej opis robi większe wrażenie. Islandia w tekście Murek czy wspomnianej książce Kozłowskiej i Wąsiewicz z trudem odsłania swoje społeczne kanty. Tak jakby ostatecznie pomimo wszelkich chropowatości relacje międzyludzkie były naturalnym ciepłem, przeciwstawionym zimnemu krajobrazowi. Drapiącym swetrem z lokalnej wełny, w którym stajemy na czarnych plażach, naprzeciw brył lawy i lodu, które scenograficznie zaznaczył Mirek

Kaczmarek, a muzycznie w stylowych ambientach księżycową przestrzeń oddał Gisli Galdur Thorgeirsson. Trudno w taki obraz uwierzyć.

Moje rozczarowanie kielecką opowieścią jest rewersem zainteresowania północną wyspą. Turystyczny boom po erupcji Eyjafjallajökull w 2010 roku nie tylko przyniósł inwazję zwiedzających z całego globu, ale też ułatwił pracę islandzkim artystom, którzy zaczęli przebijać się do światowej publiczności. Ze znakomitymi efektami nie tylko w muzyce, jak to bywało wcześniej (głównie za sprawą Björk), ale także w filmie. Trend ten, jak widać, nie musi obejmować teatru. *Opowieści...* mają jednak błyskotliwy finał, w którym Islandzki Dziennikarz – zmęczony już polską koleżanką i jej potrzebą dotknięcia jakiegось, niewygodnej jak każda, prawdy o naturze Islandczyków – rzuca zniecierpliwiony: „Poza tym, to mamy na Islandii sto trzydzieści wulkanów”. Scenę zalewa projekcja z grudniowej erupcji na półwyspie Reykjanes. To zawsze robi wrażenie i zamyka usta. Tyle się o Islandii dowiedziecie, Polacy, ile zobaczycie w turystycznych folderach i mediach raportujących sejsmiczne sensacje. Chyba że zostanieie emigrantami, ale wtedy spektakle już wam po nic. ■

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach
Kilka opowieści z Islandii
reżyseria Una Thorleifsdóttir
premiery 6 stycznia 2024